

**BOGDAN SAKOWSKI**

**ALEKSY RZEŃSKI**  
**W BARDZO OSOBISTYCH**  
**WSPOMNIENIACH CÓRKI PREZYDENTA**

**ŁÓDŹ, KWIECIEŃ 2013 ROKU**

## BEZ

Siedzimy w wygodnych fotelach. Popijamy herbatę. Rozmowa toczy się od dobrych paru minut, a my – Ziemek (pan Ziemomysł Skibiński) i ja - z nieustannie tak samo wytężoną uwagą chłoniemy każde słowo, jakie pada z ust pani Mirosławy Juliańskiej - naszej Rozmówczynie - która kilka dni wcześniej zgodziła się nas przyjąć, ochoczo zapraszając do swojego mieszkania w okazałej przedwojennej willi przy zacisznej ulicy Zelwerowicza w Łodzi.

Jest córką Aleksego Rzewskiego – pierwszego prezydenta naszego miasta, piastującego to zaszczytne stanowisko po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w roku 1918. To właśnie Jego cała społeczność Gimnazjum nr 15 w Łodzi wybrała na Patrona szkoły.

Trema, którą mieliśmy przez przybyciem tutaj, ustąpiła natychmiast, gdy w progu powitała nas niewysoka pani domu, promienna i uśmiechnięta, szerokim gestem i miłym słowem zapraszająca do wnętrza.

Mimo wielu gorzkich doświadczeń życiowych, a nierzadko i upokorzeń ze strony różnych ludzi, a bywało, że i przedstawicieli zbrodniczych systemów, mimo upływającego nieublaganie czasu zachowała pogodę ducha i dobry humor, które – jak sama mówi – towarzyszą Jej każdego dnia. To z pewnością recepta na długie życie - choć nie zawsze usłane przysłowiowymi różami, to jednak zawsze godne i niewątpliwie ciekawe.

- Mam już bez mała dziewięćdziesiąt lat – mówi wprost, nie kryjąc wieku, o który nie śmielibyśmy zapytać.

”Ileż w tej drobnej osóbcie energii” – myślę co jakiś czas, widząc, jak się uwija, jak pospiesznie przemierza obszerne pokoje, by znaleźć jak najszybciej kolejne albumy rodzinne, poźółkle dziś zdjęcia swoich najbliższych i bibeloty przechowywane w przepastnych szafach.

Bez chwili namysłu odpowiada na konkretne pytania zadawane przez nauczyciela historii. Porządkuje fakty, przywołuje daty, prostuje to, co wymaga sprostowania z historycznego punktu widzenia, opowiada o życiu swojej rodziny, uwagę skupiając przede wszystkim na życiu i działalności Aleksego Rzewskiego - swojego ojca. Jego właśnie dotyczy wywiad, który tego dnia przeprowadzamy.

Z wielu usłyszanych podczas tego spotkania opowieści mnie (nauczyciela polonistę) szczególnie poruszają te osobiste, prywatne, ciepłe, rodzinne anegdoty, które - obok faktów z zakresu polityki, działalności społecznej i zawodowej - składają się także na pełniejszy obraz życia Aleksego Rzewskiego i Jego Najbliższych.

- Mój ojciec uwielbiał spotkania towarzyskie – w pewnej chwili czyni jedną ze swych dygresji pani Mirosława, wplatając ją w szereg rzeczowych odpowiedzi na konkretne, zadawane przez moją koleżkę pytania.

- W powszechnej opinii swoich licznych znajomych i przyjaciół mój ojciec uchodził za przysłowiową duszę towarzystwa. Baaardzo lubił kobiety...

Po chwili zamyślenia, uśmiechając się promiennie (co czyni często), dodaje pospiesznie:

- Ale moją matkę ... uwielbiał!

Patrzmy pytająco, podejrzewając, że to nie koniec tego wywodu. I nie mylimy się!

- Każdego roku w dzień swoich imienin dostawała od ojca bez! Tak było zawsze, dopóki los ich nie rozdzielił na zawsze. Ten bez jest do dzisiaj. Przetrwiał wszystkie te lata...

Widząc w naszych oczach zdumienie i niedowierzanie, pani Mirosława mówi:

- Popatrzcie przez okna.

Swój wzrok kierujemy posłusznie we wskazanych kierunkach. Tych okien jest bowiem wiele. Za każdym, na wysokość pierwszego piętra okazałego domu rosną krzewy bzu, tego dnia pozbawione jeszcze liści i kwiatów.

- Tak – uprzedzając nasze pytania, pani Mirosława wyjaśnia – każdego roku na imieniny mojej matki przybywał w naszym ogrodzie kolejny krzak bzu ...

Różne koleje losu przechodził ten dom, różne - jakże często dramatyczne – były koleje losu jego Mieszkańców, ale ten bez – ten namacalny dowód najpiękniejszych uczuć ludzkich - pozostał . I ma się dobrze.

- Przyjdźcie w maju, gdy te krzewy kwitną. A jak cudnie wtedy pachną... Niezmiennie... Od lat...

## POMOCNA DŁOŃ

- Ten dom – zaczyna swoją kolejną opowieść nasza Rozmówczyni – zaczęto budować w 1924 roku. Rodzice spłacali go wspólnie do wybuchu wojny. Byli wtedy członkami spółdzielni mieszkaniowej, której inicjatorem powstania był mój ojciec.

W październiku 1939 roku okupanci wyrzucili nas stąd. Ojcu, co prawda, pozwolono otworzyć kancelarię, ale już 8 listopada 1939 roku, na kilka dni przed świętem 11 Listopada, aresztowano go – niby jako zakładnika - na wypadek spodziewanej manifestacji patriotycznej mieszkańców Łodzi. Nigdy więcej go nie zobaczyliśmy...

Niebawem poznaliśmy oficjalną datę jego śmierci: 30 listopada 1939 roku.

W naszej willi na kilka długich lat okupacji hitlerowskiej zamieszkał Austriak - inżynier drogowy. To on właśnie, opuszczając ten dom w 1945 roku, wywiózł do Austrii wszystkie nasze piękne zabytkowe meble – całe wyposażenie mieszkania. Nigdy do nas nie wróciły...

Po wojnie z niemalym trudem spłacałam dom, który – po rozwiązaniu założonej przed wojną spółdzielni - stał się moją własnością. Mąż mój – lekarz - zginął podczas okupacji, biorąc udział w walkach partyzanckich, tak samo jak jeden z braci, pozostali dwaj bracia rozpierzchli się po świecie. Byłam zdana na siebie. Zaczęły się moje poważne kłopoty finansowe. Pracowałam na tzw. posadzie państwowej za niewielkie, niestety, wynagrodzenie.

Z upływem lat dom coraz bardziej wymagał remontu, szczególnie okna należało wymienić na nowe. Brakowało mi funduszy. Nie miałam nadziei na ich rychłe pozyskanie. Próbując temu zaradzić, jedno z pomieszczeń na parterze wynajęłam obcym ludziom z przeznaczeniem na sklep spożywczy (do dziś jest on czynny), ale dochód z tego wynajmu nie mógł zapewnić pokrycia kosztów koniecznego gruntownego remontu.

Zrozpaczona, bezradna, stojąca u kresu wytrzymałości poszłam pewnego dnia na cmentarz.

Stanęłam na grobie matki i żałośnie wyszeptalam:

- Mamo, pomóż mi...

Wróciłam do domu, wlokąc się noga za nogą. A ponieważ dzień był piękny, ciepły i słoneczny, postanowiłam pójść na spacer – tak bez konkretnego celu, przygnieciona kłopotami. Daleko jednak nie uszłam. Niespodziewanie zostałam zaatakowana przez ogromnego psa sąsiada. Do dziś nie wiem, dlaczego pojawił się na mojej drodze, zwykle niebiegający samopas. Przyskoczył do mnie błyskawicznie i zupełnie dla mnie niespodziewanie... odgryzł mi lewą dłoń.

W tym momencie pani Mirosława - o, dziwo! - uśmiecha się, a my obaj, tkwiąc w bezruchu, otwieramy i usta, i oczy ze zdumienia. Bezwiednie patrzymy badawczo na rękę naszej Rozmówczyni - na rękę, którą tak sprawnie podtrzymuje nasze filiżanki, z dzbanka wlewając do nich kolejną porcję herbaty.

- Na szczęście – mówi dalej – miałam na sobie dres, którego mankiety zakończone były ściągaczem z gumką. Zacisnęłam krwawiący kikut tym mankietem, prawą dłonią podniosłam z ziemi swoją odgryzioną dłoń i pobiegłam z nią do szpitala. To niedaleko stąd. Dłoń mi przyszyto i po sprawie! – kończy swoją – dla nas makabryczną - opowieść.

Z niedowierzaniem, długo, trochę nachalnie przyglądamy się tej dłoni. Gdyby nie ta opowieść, nigdy byśmy nie zauważyli ledwie widocznych śladów operacji.

- Dobra robota, prawda? – uśmiecha się znowu nasza bohaterka. – Dostałam wysokie odszkodowanie! Wystarczyło na nowe okna!

Spoglądamy na nie bezwiednie. Są ogromne, zwłaszcza te na klatce schodowej – szerokie, wysokie na kilka metrów, a takich i innych – równie okazałych - jest wiele w całym domu.

- Po pewnym czasie znów poszłam na cmentarz. Pochyliłam się nad mogiłą i tym razem radośnie wyszeptalam: Dziękuję, ci, mamo! Znów mi pomogłaś. Jak zawsze w trudnych chwilach mogę na ciebie liczyć...

Milczymy, ale tylko przez chwilę, bo zaraz potem pani Mirosława przerywa tę ciszę, stwierdzając:

- Tak! W naszej rodzinie zawsze pomagaliśmy i pomagamy sobie nawzajem w trudnych chwilach.

## **ERUDYTA... BOKSER ... MYŚLIWY...**

- To nie, że mój ojciec od urodzenia był chory na cukrzycę i przez to całe swoje życie dwa razy dziennie musiał brać insulinę. Nie przeszkadzało mu to jednak w realizacji swoich pasji życiowych.

- Po pierwsze, bardzo lubił się uczyć. Od kiedy pamiętam, uczył się nieustannie. Znakomicie opanował języki obce: znał francuski, niemiecki i rosyjski. Ukończył dwa fakultety: ekonomię i socjologię oraz prawo, studiując w Wolnej Wszechnicy. Tą wiedzą, w każdej dogodnej chwili, dzielił się na różne sposoby ze wszystkimi, ze mną – swoją ukochaną i jedyną córką – także. To dlatego tak bliskie mu było powszechne nauczanie, które obowiązkowo wprowadził w Łodzi, wybudował ponadto szereg gmachów szkolnych, zorganizował bibliotekę publiczną oraz muzeum nauki i sztuki, a także Wydział Oświaty i wydał walkę analfabetyzmowi, będąc prezydentem naszego miasta w latach 1919 – 1923. Jest autorem wielu książek i artykułów, w których też podzielił się swoją wiedzą z czytelnikami.

- Po drugie, kochał sport. Uprawiał go czynnie, a wspomniana choroba wcale mu w tym nie przeszkadzała. Jego wielką pasją był boks! Ach, jak on boksował...

W tym momencie Córka sławnego Ojca z dumą prezentuje nam autentyczne fotografie Aleksego Rzewskiego w strojach sportowych. Obaj podzielamy Jej zachwyty!

- Po trzecie, mój ojciec był zapalonym myśliwym! To z polowania pod Wilnem przywiózł cenną zdobycz: pochwyconego, mocno zestresowanego wilczka. Widząc jednak smutek swojej żony z powodu cierpienia zwierzątka, oddał je do łódzkiego ogrodu zoologicznego. W naszym domu były skóry dzików, niemało było także strzelb i sztuczerów. Wszystko to skonfiskowali potem hitlerowcy, gdy w roku 1939 wysiedlili nas z rodzinnego domu.

Pani Mirosława - często podczas naszego z Nią spotkania - z dumą podkreśla zasługi swojego Ojca, wskazując na wielość piastowanych przez Niego funkcji, wielość Jego zainteresowań i pasji.

- Wszystko, co robił, robił z pasją. Nie bez powodu przecież miał pseudonim *PRZEBÓJ* – podkreśla, z naciskiem wypowiadając ostatnie słowo i uśmiechając się przy tym melancholijnie...

## OŚWIADCZENIE

W pewnym momencie naszego spotkania, przerzucając liczne pamiątkowe dokumenty, fotografie, ryciny i rysunki, pani Mirosława pokazuje nam pośólkły arkusz papieru podaniowego z odręcznym na nim pismem Aleksego Rzewskiego, mówiąc po chwili:

- To oświadczenie, pisane własnoręcznie przez mojego ojca, stanowi bardzo ważny dla niego kiedyś, a dla mnie zawsze dokument.

Z nim wiąże się cała historia...

Otóż przed wojną byli także ludzie nie zawsze przychylni mojemu ojcu, czyhający na jego uchybienia, pomyłki czy błędy. To oni doszukiwali się w życiu Aleksego Rzewskiego mrocznych – ich zdaniem – wydarzeń, które miały go dyskredytować w oczach społeczeństwa. Spekulowali na temat jego pierwszego ślubu, potem rychłego rozstania się z żoną, nieślubnych i tych już z prawego łoża dzieci rodzących się po drugim zawarciu przez ojca związku małżeńskiego. Wypaczali fakty, doszukując się sensacji.

I wreszcie ojciec, pisząc własnoręcznie to oświadczenie, położył kres wszelkim niedomówieniom, kłamstwom, a często bywało, że i oszczerstwom.

W świetle tego, co czytamy w oświadczeniu, wiadomo, że ojciec mój brał ślub dwukrotnie. Pierwsze jego małżeństwo nie przetrwało długo. Po zaledwie roku zostało unieważnione w świetle prawa kościelnego po tym, gdy pierwsza żona mojego ojca próbowała otruć swego małżonka potrawką z celowo dodanymi do niej niejadalnymi grzybami.

Wtedy ojciec mój związał się z osobą przez siebie ubóstwianą do końca swych dni, czyli ze Stanisławą Zalewską - moją matką. Owocem wielkiej miłości obojga było dwoje dzieci, które przyszły na świat w roku 1914, czyli jeszcze przed zawarciem przez moich rodziców ślubu kościelnego. Byli to moi bracia: Aleksy i Zdzisław.

Już po ślubie rodziców narodziło się dwoje następnych: Zbigniew (w roku 1920) i ja (w roku 1924). Wszystkie swoje dzieci - i te urodzone przed ślubem rodziców, i te urodzone po ślubie - rodzice kochali jednakowo – miłością wielką i bezgraniczną.

Tej treści wyjaśnień i deklaracji domagała się przedwojenna tzw. opinia publiczna.

I to ojciec mój napisał w tym oświadczeniu, przechowywanym do dzisiaj przeze mnie. To cenna dla mnie pamiątka, ale i swego rodzaju kuriozum w całej tej niedorzecznej historii.

No cóż – jak widać - świat ówczesny niewiele się różnił od dzisiejszego - konkluduje po dłuższej chwili pani Mirosława.

I nam trudno się nie zgodzić z tym stwierdzeniem naszej Rozmówczynie...